Nr. 17. We Lwowie dnia 28. kwietnia 1901. Rok 10.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Nieznany fragment „Anhellego“ [1]

...I wstał Anhelli z grobu, za nim wszystkie duchy:
Szaman, Eloe, cała ćma z grobów wstawała,
I wszystkie brały dawno porzucone ciała.

A Sybir był zaćmiony, jakby zawieruchy
Ciemnemi i powietrze się ciągle mieszało,
I chmury szły i grady błyskały i grzmiało.

Wstaliśmy i ku Polszcze szli, a na cmentarzu
Zatrzymał Szaman oną straszną duchów zgraję,
I spytał głośno: kogo z mogilnych nie staje?

A wszyscy byli. Straszny i zimny grabarzu
Śmierci, gdzie jest twój oścień, gdzie zwycięstwo twoje?
Wszyscyśmy byli i krwi naszej poszły zdroje.

---

[1]) Przed nami roztacza się wspaniały obraz zmartwychwstania Polski. Anhelli z prorokiem Szamanem, z anielicą Eloe, urodzoną z łzy Chrystusowej, całe pokolenie wygnańców, zgasłe w bolu niespełnionych pragnień, odchyla wieka trumien, przykryte śniegiem podbiegunowym i w uroczystym pochodzie wraca do ojczyzny. Myślą przewodnią wiąże się ten obraz, niestety, w odłamku tylko zachowany, bezpośrednio z ostatnią sceną zmartwychwstania w „Anhellim“; pod względem formy łączy się organicznie z poematem „Posielenja“, zamykającym w trjoletach otchłanie Sybiru. Do ogłoszonych w Bibljotece warszawskiej z 1891, pierwszych fragmentów, pomnożonych przez Leopolda Méyeta w studjum, umieszczonem tamże w 1893 roku, dorzucam tu kilka nowych tercyn, zapisanych drobnem i prawie nieczytelnem pismem poety, pod koniec życia, na marginesach autografu „Króla Ducha“.

H. Biegeleisen.

O KRZYŻAKACH.

Przez
Marję Konopnicką.

13)

Bądź jak bądź, zasada krzywdy, zasada prawnego bezprawia istniała. Więc choć lud, pod mocą krzyżacką jęczący, cierpiał może tu, ówdzie, nad literę prawa, nie cierpiał nigdy i nigdzie nad — sam zamiar prawa. Co właśnie czyniło położenie jego bez ratunku nieznośnem i śmiertelnie ciężkiem.

Ale miało to, rzecz prosta, i następstwa swoje, a te się obracały przeciw Zakonowi.

Jakoż, jeżeli nici owej pajęczej, krzyżackiej sieci, dusiły życie, Zakon musiał żyć łupem tego zduszonego życia, łupem śmierci.

Musiał pełnić nieprawość, bo „cały stał na nieprawości“.

— „Musiał czynić krzywdy, bo zbudowany był na krzywdzie“.

— „Musiał kłamać, bo kłamstwo było polityką jego“.

A ten mus, ta konieczność życia tem, co jest zaprzeczeniem życia; ta konieczność stania na zasadzie krzywdy, gwałtu, fałszu i podstępu, które się wsączyły w samą treść, w samą istotę politycznego bytu, — to nietylko głęboki rys historjozofji krzyżackiego zakonu, to także tragiczna maska logiki dziejowej, w ślad za zakonem takim kroczącej, aby go otruć własnym jego jadem.

Ale teraz, — oprócz może Zyndrama z Maszkowic — nie wiedziano o tem. Teraz, gdy Zbyszko, jadąc do Spychowa z Jurandem „białą, zalaną światłem księżycowem drogą“, — podnosi ku niebu twarz młodą, na której odmalowało się zdumienie nad przeniewierstwem krzyżackiem, i pyta:

— „Ojcze! Toćby im lepiej było na miłość ludzką, niż na pomstę zarabiać? Po cóż oni tyle krzywd ludziom i narodom czynią?“

Jurand rozłożył ręce, — jakoby z rozpaczą, — i głuchym głosem odrzekł: — „Nie wiem!“

Teraz, rycerze polscy, ujrzawszy zdala potężne baszty Marienburga, rysujące się na niebie i olbrzymie mury „wysokiego zamku“, których ogrom „przewyższał wszystko“, czują tylko, że od tego „olbrzymiego gniazda zbrojnych mnichów bije moc niezwyciężona“. Wszakże nie ta „moc“, nie konieczność walki z potęgą Zakonu zagrażała budowie życia narodowego.

Walka — jako taka, nie przeciwi się życiu sama przez się. Ona gasi tylko żywoty, ale nie życie samo. Te żywoty gasi, które sobą zastawiają — życie. A im śmiertelniej, im goręcej, im ofiarniej żywoty owe na ugaszenie gotowe są, albo idą, tem płomień życia jaśniej i silniej się pali.

Bo życie, to czucie się sobą, które walka zaostrza, pogłębia i powszechniejszem czyni.

Czyni je tak powszechnem, jak dusza narodu, stojącego w walce.

Mówi walka: Uderzam w ciebie, — więc cię uznaję. A ci, którzy są, i czują się żywi, — mówią:

— Odpieram cię, bo jestem.

I to jest fizjologja walki w stosunku do życia — narodu.

Może być, że w owe czasy nie zdawano sobie z tego sprawy tak jasno, ale to pewna, że ogólny instynkt narodu właśnie ku walce parł, że on to był owym „niestrzymanym pędem“, którym dusza powszechna do wielkości szła. Jakoż wojna w Polsce „nikomu nie była cudna“, jak mówi Maćko; a tak samo jak Zbyszka, „hodowała wojna“ zapewne niejedno rycerskie pacholę.

Owszem, była niejako stanem normalnym młodego a silnego państwa, które w niej ochotnie szukało ujścia, dla „nadmiaru sił, rozpierających rody i społeczność całą“. Nie było „wojny wielkiej“, to była „wojna mała“, a czy Król z Mistrzem piszą pergaminy, czy nie piszą, — „nad granicą zawsze jest robota“.

Sam zaś już ten wyraz: „robota“, wyjawia nam najogólniejsze pojęcie wojny w ówczesnej Polsce, jako zwykłego zajęcia, zwykłej sprawy życia.

Więc Zakon w polu, — więc wojna z Zakonem. — to jeszcze nic.

„Niemcy? — E, ktoby się tu Niemców bał? — mówi Zych ze Zgorzelic. — Póki cię nie zabiją, to czegoż? A jak cię zabiją, to i nie czas na strach“. — I ma rację.

Przyjdzie chwila, kiedy duch narodu wyjawi się w genjuszu narodowego poety i rzecze:

— „Złe jest mądre — a ja — prosty, mędrszy jestem od niego. Złe jest zbrojne, — a ja go się — bezbronny, nie lękam“.

Ale teraz — Zych ze Zgorzelic ma głos. Teraz — Zych ze Zgorzelic uogólnia cały ten Werset Mickiewiczowskiej Ewangelji w krótkim, a jędrnym okrzyku:

— „E, ktoby się ta Niemca bał!“

Więc sama walka, to jakby nic jeszcze.

Ale co było strasznem, i co budowie życia i jutra naprawdę groziło, to chytrość niemiecka. To ta powolna a systematyczna walka eksterminacyjna, którą krzyżactwo prowadziło i bez wojny także, wypierając sobą żywioły plemienne, dusząc srogością i krzywdą życie to na ziemiach, zagarniętych podstępem i fałszem, u samych podstaw tego życia.

I tu jest miejsce na ów krwawy dokument, na ów „list Żmudzinów“, w którym ten lud umęczony, i już prawie że ginący, wołał do chrześcijańskich narodów o ratunek, przeciw tym krzewicielom chrześcijaństwa i z krzyża swego wzywał pomocy przeciw tym strasznym nosicielom krzyża, których „krzyżownikami“ raczej zwaćby trzeba.

...Wolnym my byli ludem — piszą Żmudzini w tym śmiertelnym liście, — a Zakon chce nas w niewolników przemienić. Nie dusz on naszych szuka, lecz ziemi i dostatków naszych. My chcemy chrztu, ale nie krwią i mieczem. Lecz oni rodziny nasze i domy nasze ogniem popalili. Ratujcie nas, bo giniemy!“

A kiedy ten jęk straszny bił przeciw katom na Żmudzi od ziemi do nieba, — Krzyżacy „dzwonili w dzbańce“, i wznosząc je na ucztach, wołali:

— „Kto nam przyjaciel, temu pod nami dobrze. A kto nieprzyjaciel, na tego mamy dwa sposoby: Złoto i żelazo“.

A iż żelazo godziło w lud nieobronny, słaby, a złoto szło do skarbnic królów za wojska zaciężne, przeto jęku owego nie słyszał w Europie nikt.

I to było naigrawanie się krzyżackie z praw ziemi.

Ale Krzyżacy wołali także:

— „Kto miłuje krzyż, ten i Zakon powinien miłować“.

I dawali szyć na białych płaszczach swoich wielkie czarne krzyże, i na każdy czas zastawiali krzyżem piersi pełne okrucieństwa i chciwości. I stawali w tych szytych krzyżem płaszczach pod sztandarem swoim, który był hen w białem, lodowatem polu, czerwona, krwawa, prawie, że katowska ręka.

I to było naigrawanie się krzyżackie — z praw nieba.

To była zarazem przepaść, dzieląca w życiu Zakonu dogmat od etyki, z których pierwszy uczynili Krzyżacy narzędziem męki i zguby dla innych, a z drugiej — uprawnienie srogości i rozpusty dla siebie.

I oto Zygfryd modli się u krzyża. Czoło oparł o przebite Chrystusowe stopy i ślubuje, że nie wypuści Danusi, ani też Juranda. Owszem: Jakgdyby nagle poczuł ostrze i zimno ćwieków, przebijających stopy Ukrzyżowanego, ślubuje, że Jurandowi oczy wykapie, język wyrwie i utnie prawicę.

Taka jest modlitwa Krzyżaka u stóp Chrystusowych. A kiedy od stóp tych wstanie, nadmie się pychą, jako zły żmij jadem i rzecze:

— „My, Krzyżacy, nie boimy się nikogo — prócz Boga“.

Ale nieprawda będzie, gdyż ci się i Boga nie boją.

(C. d. n.)

4) WŁADYSŁAW ST. REYMONT.

Pewnego dnia...

— Głupi, na wieś im potrzeba, chamy! — pomyślał naraz gniewnie.

Pan Pliszka był szlachcicem, takim ze Szlacheckiej Woli, na trzech zagonach i jednym krowim ogonie, ale nim był, poczuł to mocno w tej chwili, a potem wolno liczył:

— Zaraz, to już będzie trzydzieści lat... tak... trzy lata... pięć lat... a potem miasteczko Łódź i fabryka. Trzydzieści lat, no... no... tęgi kawał czasu. Zdziwił się, nie myślał nigdy, że to tak dawno. Obejrzał się w tył, w czas ubiegły, w długie lat trzydzieści i patrzył trochę z niepokojem i trochę ze smutkiem. Mózg zaczął pracować, a dusza przedzierała się z trudem przez ten gąszcz lat trzydziestu; przez puste, szare, zgubione w pamięci lat trzydzieści, przekopywała się aż do tamtych czasów... do czasów młodości... do czasów dzieciństwa... pasania bydła... aż tam... na dno i początek życia.

I teraz dopiero, w tej chwili, przypomniał sobie, że miał kiedyś młodość, wieś swoją, rodzinę swoją... życie inne...

— Chamy! Po co oni jadą na wieś! — myślał z coraz większą irytacją i jak od psów złych, bronił się od wspomnień, które wyłaziły z ciemnych szczelin mózgu i obsiadały go coraz większą ciżbą.

Pan Pliszka pierwszy raz od lat dwudziestu źle dzisiaj robił.

Nie słyszał sygnałów, mylił się w piętrach, a często przejeżdżał, nie zabierał niczego, i ginął w przepaściach swojej studni, powstawało z tego ogólne zamieszanie, towary się spóźniały, niektóre maszyny musiały czekać na robotę, zwróciło to uwagę powszechną.

W sobotę przy wypłacie wymówił mu to kasjer.

—Pliszka, płacicie karę za nieporządki i opóźnianie!

Pan Pliszka rzucił się, jak piorunem uderzony, a potem wybuchnął:

— Ja płacę karę, ja! Dwadzieścia lat jestem w fabryce i ani grosza nie zapłaciłem kary, to nie zapłacę i dzisiaj.

— Zapłacicie, tak kazał pan Demehl.

— Pan Demehl! A to zapłacę — zawołał nagle zrezygnowany... Pan Demehl — powtarzał cicho, wlekąc się do domu. Kruczek czekał na niego przed bramą fabryki i szczekał radośnie na powitanie.

— Kruczek! Pan Demehl skrzywdził twojego pana, słyszysz! Pan Demehl!

Kruczek na dźwięk nazwiska zaczął szczekać groźnie, gonił niewidzianego, mścił się za krzywdę swojego pana. A pan Pliszka jakby zapomniał o wszystkiem, bo siedział w swojej izbie pod oknem, palił fajkę i nie odzywał się do nikogo, nawet na Kruczka uwagi nie zwracał.

Robotnicy szykowali się spiesznie do drogi, myli się pod pompą na podwórzu w mroku wieczornym, odziewali odświętnie i zapełniali mieszkanie świątecznym nastrojem, gospodyni, pani Radzikowa i Antoś pomagali im wiązać tobołki.

— Co wieziecie, Adamie, do domu? — pytała.

— Chustkę dla matki, kaszkiet ojcu, a dziewuchom paciorków..

— A wy, Pietrze?

— Obrazików i na spódnicę matce.

— A Józef?

— Ja nic; bo to ja jadę gdzie? mam to gdzie, albo do kogo, co? — odburknął gniewnie Józef, mocno odsunął stołek i wyszedł na podwórze; do późnej nocy słychać było głos jego harmonijki... grał zapamiętale, jakby na zagłuszenie swego sieroctwa.

A pani Radzikowa rozkładała te dary wszystkie na stole, przyglądała się im w świetle lampy i składała ostrożnie, jak świętości.

— Głupie! — pomyślał pan Pliszka, gwizdnął na Kruczka i wyniósł się na podwórze do Józka. Poczuł nagłą i złą niechęć, prawie nienawiść do tych ludzi, do ich twarzy, do ich rozradowanych uśmiechów.

Siedział pod ścianą, na kamieniu i głupim, bezmyślnym wzrokiem patrzył w księżyc, co się już był wzniósł po nad miasto i płynął, jak ptak świetlany, po przez czarne głębie.

Duszę mu omroczył dziwny smutek roztęsknienia, a na oczy opadł łzawy cień; uparty cień, który ustąpić nie chciał, pomimo, że go pan Pliszka ścierał kułakiem.

I siedział tak długo, wpatrzony w noc miesięczną i wsłuchany w Józkową muzykę — tylko, że nic nie widział, nie słyszał i nie pamiętał.

Wieczór był cichy maja, sobotni wieczór fabrycznego miasta, odpocznienia wieczór.

Okna gasły, ciemniały, jak źrenice zmorzone snem; fabryki milkły i zasypiały, ulice głuchły i zdały się przeciągać w leniwem, rozkosznem odpocznieniu; domy zanurzały się w ciemności i w ciszę, gwar ludzkich rojowisk przycichał, tylko księżyc świeci, coraz jaśniej, tylko czuby drzew szeptały listkami i jakby się wznosiły w tej srebrnej mgle i jakby piły światło, i c'szę, i ukojenie.

— Zostańcie z Bogiem! — zawołał któryś przez okno.

— A idźcie na złamanie karku! — mruknął pan Pliszka ze złością.

Ale już nie mógł usiedzieć, nie Podniósł się i poszedł za nimi, poszedł wolno, bo jego drewniana noga zaciężyła mu dzisiaj, poczuł w niej dziwny ból, dziwny. Stanął na drodze i patrzył za nimi.

Długo widział ich czarne sylwetki z białemi tobołkami na plecach, szli przez pola, ku kolei... dobrze widział w tem jasnem, księżycowem świetle. Tak się zapatrzył w nich, że nawet nie wiedział, kiedy mu zginęli z oczów i przepadli w oddaleniu. (D. c. n.)

Nowy styl w muzeum miejskiem.

W kraju nędzy i biedy i zupełnego zastoju przemysłowego, każdy wysiłek, zmierzający do podniesienia wytwórczości krajowej, zasługuje na uwagę.

Jednym z takich wysiłków, jest założone przez miasto muzeum przemysłowe, mieszczące się w północnem skrzydle ratusza, gdzie gospodaruje kustosz, p. Rebczyński.

Muzeum posiada wspaniałą bibljotekę, mieszczącą w sobie moc nieraz bardzo rzadkich i kosztownych dzieł, dotyczących sztuki. Bibljoteka ta w swoim rodzaju jest najlepiej skompletowaną i obfitą we Lwowie, i każdy architekt, malarz, rysownik i rękodzielnik-artysta znajdzie w tych dużych foljałach zaklętą sztukę europejską, będącą mu nieraz przewodnikiem w twórczości. Obok bibljoteki istnieje muzeum przemysłowe, zawierające w sobie wiele archeologicznych zabytków, jakoteż i współczesnych wzorów pracy ludzkiej z zakresu stolarstwa, snycerstwa, ślusarstwa, keramiki, koronkarstwa, tkactwa i t. d.

Muzeum skromne w rozmiarach napozór, mieści w sobie już dziś wiele rzeczy, mających dla rękodzielników - artystów wartość wzorów, kształcących oko i rękę. Niestety, konserwatyzm wrodzony nie pozwolił jeszcze na zużytkowanie muzeum miejskiego tak, jakby tego interes kraju i miasta wymagał.

Lwów do dziś nie jest miastem przemysłu wielkiego, ale gniazdem drobnego rękodzielnictwa. Rękodzielnictwo to niszczeje i marnieje z roku na rok, wypierane przez tani fabryczny towar marki wiedeńskiej, czeskiej, węgierskiej i niemieckiej. Nawet jedyny dział naszej wytwórczości krajowej, artystyczne rękodzielnictwo, które mogło w pewnej mierze liczyć na opanowanie targu miejscowego, zostało poważnie zagrożone ostatnimi czasami.

Niebezpieczeństwo dla artystycznego ślusarstwa i stolarstwa zwłaszcza, tkwi w zmianie gustu u publiczności, dokonanym pod wpływem głośnej „secesji“. Jesteśmy bowiem narodem,

którego nić kulturalna w ostatnich czasach nawiązana, zwłaszcza w sztukach stosowanych, jest jeszcze niezmiernie słabą. Publiczność nie ma tradycją narodową ustalonych gustów, a wrażliwość jej na prądy, jakie moda z Paryża, Londynu, Berlina i Wiednia przynosi, jest wielką. Natomiast rzemieślnicy nasi z trudem przyswoiwszy sobie formy renesansu i baroku i stylów XVIII. stulecia, niechętnie opuszczają dotychczasowy teren i opornie idą za europejskimi prądami.

Rezultatem tego jest, że publiczność coraz chętniej lgnie do nadsyłanych masami „secesyjnych“ mebli — krojów i wzorów ze szkodą miejscowej produkcji. Aby niejako zachęcić siły wytwórcze krajowe do zapoznania się z nowym stylem, zarząd muzeum miejskiego, a zwłaszcza kustosz p. Rebczyński, od szeregu lat starał się o zebranie funduszów, by módz na wystawie paryskiej zakupić szereg wzorowych wytworów z najrozmaitszych działów, na którychby się kształciło oko pracowników krajowych. Zamiar ten doszedł do skutku i w muzeum miejskiem, w osobnem pomieszczeniu, znalazło się kilkadziesiąt przedmiotów, zakupionych za skromną sumę 12.000 złr.

Nie tu miejsce jest opowiadać początek i uprawnienie nowej sztuki. Autor niniejszych słów wskazał swego czasu na ścisły związek, jaki istnieje pomiędzy sprowadzoną do Europy Japońszczyzną, a nowym stylem. Uprawnieniem zaś nowej sztuki jest to, że ona istnieje, rozwija się i podoba się ludziom, tego zaś życiowego faktu żaden opór, niechęć lub krytyka niechętna nie sprzątnie.

Jednego możnaby sobie życzyć, oto by te nowe wzory zaczepiły się o tradycje narodowe w sztuce tak, jak to się stało we Francji i w Anglji, co może i u nas z czasem przy lepszem poznaniu i spisaniu naszego własnego majątku narodowego w zabytkach sztuki stosowanej, się stanie. Dziś należy zużytkować troskliwie wzory nagromadzone w muzeum i bibljotece muzealnej i nie pozwolić wydrzeć sobie wiedeńskim, lepiej do smaku publiczności dostosowanym, robotom— miejscowego zapotrzebowania.

Tych kilka myśli nasunęły się podpisanemu przy oglądaniu okazów, zebranych i uporządkowanych przez kustosza muzeum w osobnej salce na pierwszem piętrze ratusza.

Wchodzimy do niej. Na wstępie uderza nas stół prosty, ale tak dowcipnie składany i rozsuwany, że radziłbym naszym stolarzom dokładnie go obejrzeć i mechanizm ów w praktyce zastosować.

Równie ciekawym jest stoliczek obracalny od Terque'a z Paryża (Cena 80 franków.

Pod ścianą zaś mieści się pulpit drewniany, nader ciekawej a prostej konstrukcji, godnej naśladownictwa.

Pod oknem w kącie empirowe biuro dla dam zwraca uwagę dokładnością i gustownością paryskiej roboty. W drugim kącie mieści się szereg mebelków, stół, krzesło, fotel, etażerka i wieszadło, a wszystko zrobione w nowym pełnym wdzięcznych myśli stylu przez firmę paryską Binge. Od Société de Cuire w Paryżu pochodzi fotel obity wyciskaną skórą w cenie 14 złr. Japońską sztukę przedstawia szafeczka z laki w formach filigranowa i interesująca.

Arcydziełem sztuki stolarskiej jest kredens, układany naturalnie kolorowem drzewem w mozajkę, przedstawiającą walkę kogutów, skomponowany w nowym stylu, a kupiony za skromną cenkę 1100 złr. (2225 franków).

Interesujące są bronzy od Barbédienne. Wyroby metalowe od Charpentier w Paryżu, dalej ekran kuty z żelaza i wyroby ślusarskie od Roillard i Laplace, tudzież świecznik kuty od Bergue'a odbijają się w pamięci dokładnością i pięknością wykonania. Zwłaszcza świecznik, którego formy są zapożyczone od zwykłego naszego „*bodiaka*“, jest niezwykle pięknie skomponowany i odkuty.

Szczególnie bogaty jest dział majoliki, porcelany i szkła rzniętego i emaljowanego. Majolika włoska, porcelana z Paryża, Sèvres, Meissen, Berlina i Kopenhagi — to są przedmioty niezrównanej piękności. Uwagę naprzykład zwraca talerzyk mały z gałązką emaljowaną i miseczka niewielka o ażurowym ornamencie tak zwanej miękkiej porcelany wynalazku Mandant w Paryżu. Sztuka po 215 franków (przeszło 100 guldenów). Drogie i gustowne są plakiety emaljowane przez p. Marin, wazy od Leja ze Sztokholmu, talerzyk z fabryki królewskiej w Berlinie z krajobrazem malowanym przez słynnego Menzla, waza od Guerin et Comp. w Limoges, a nadewszystko cudowna, z kryształowego szkła emaljowanego rznięta i w bronz oprawna waza od Badgués w Paryżu (1000 franków), to są rzeczy, których, raz widząc, nie zapomina się długo. Cóż dalej mówić o cennych japońskich lakach, o klejnotach w nowym stylu ze słynnej dziś firmy Belique w Paryżu, i jak słowami opisywać cudną introligatorską robotę Anglików.

Szkoda też słów tracić na opis dywanu jedwabnego perskiego (1.000 franków) i słynnych kolorowych afiszów Chereta, rozwieszonych po ścianach, są to bowiem rzeczy, które widzieć należy i których płomiennych barw, dymem słów określić i opisać nie można.

Stolarz, ślusarz, blacharz, introligator, snycerz, złotnik, bronzownik, znajdą na wystawie w muzeum miejskiem rzeczy pouczające dla siebie i dające im tu we Lwowie na miejscu wzór, jak należy trafiać w gust i smak publiczności.

Zwrócenie uwagi Lwowian na otworzony nowo dział wystawy, jakoteż na całe muzeum przemysłowe, jest celem niniejszych słów.

Ocenić zaś należy energję kustosza pana Rebczyńskiego i jego niezmordowane staranie nad rozszerzeniem muzeum a przysporzeniem nowych działów dla rozwinięcia smaku u publiczności i u naszych wytwórców

Architekt *Kazimierz Mokłowski.*

Z Syberji i Kamczatki

przez dra Benedykta Dybowskiego.

(Ciąg dalszy)

Leon Dąbrowski, kolega nasz z Dorpatu i na wygnaniu, nauczyciel gimnazjum słuckiego, czasowy naczelnik oddziału partyzanckiego ze Słucka, opowiadał mi o bohaterskiem męztwie, o idealnej dobroci i poświęceniu bez granic śp. Bogurskiego. Gdy długi czas po rozbiciu partji powstańczej, błąkał się Bogurski po lasach, oczekując na nowy oddział, bo nie mógł się oswoić z myślą, że w okolicach Słucka już nie myślą o dalszej walce, więc sądzili jego koledzy, będący w więzieniu, że umarł z ran odniesionych w potyczkach, wiedzieli bowiem, że był ranny. Otóż myśląc, że już nie żyje, składali winy swoje na barki rzekomo umarłego. Jakaż była następnie rozpacz kolegów, kiedy się dowiedzieli, że Bogurskiego mają już Moskale w więzieniu śledczem, chcieli więc odwołać uprzednie zeznania i przyznać się przed sądem, że kłamali. Lecz na to nie przystał Bogurski, wszystkie winy, obciążające kolegów wziął on na siebie, powiadając, że byłby najszczęśliwszym, gdyby mógł zginąć w obronie kolegów. Uczynny, towarzyski, altruista do szpiku kości, dzielił się ostatnim groszem z biednymi i miał to marzycielsko-naiwne przekonanie, że każdy z rodaków musi być koniecznie takim, jakim był on sam. Doświadczenie gorzkie, smutna rzeczywistość rozwiały marzenia gorącego serca, rozczarowanie przypłacił życiem.

Ażeby dać pojęcie, chociażby przybliżone do rzeczywistości tylko, jak ludzie na wygnaniu, tęskniąc za krajem i społeczeństwem swojem, idealizują je w swej wyobraźni, podaję tutaj obrazek następujący: Jeden z obywateli wolnych, Stanów Zjednoczonych Ameryki, wykształcony, postępowy, przyjaciel Polaków, bawiący na Syberji, gdy wyczytał co ciekawego w gazetach amerykańskich, śpieszył zawsze zawiadomić o tem przyjaciół swoich. Razu pewnego przyszedł do nich z nowiną, która na nim, gdy ją przeczytał przykre zrobiła wrażenie. Znalazł on bowiem w gazetach relację takiej treści: „Jezuici podali petycję do rady miasta stołecznego Galicji, o pozwolenie osiedlenia się tam“. Redakcja gazety rzeczonej opatrzyła tę relację uwagą krótką, że z racji, iż w „starej Europie“ reakcja bierze górę, przeto rzeczą jest prawdopodobną, że petycja Jezuitów nie znajdzie odmownej odpowiedzi w radzie miasta. Wszyscy obecni Polacy odnieśli się z oburzeniem do słów redaktora gazety amerykańskiej. „Nie, zawołali, insynuacja podobna nie jest słuszną; patrjotyczna, światła Rada miasta Lwowa, nigdy się nie zgodzi na to, ażeby Jezuici osiedlali się w obrębie Lwiego grodu, bo powiadali, trzeba stracić pamięć, trzeba chyba nie znać historji kraju, ażeby przystać na petycję Jezuitów“. W tem przekonaniu o patrjotyzmie, o jasnym poglądzie radców miasta na przeszłość i przyszłość narodu, pozostają i do obecnej chwili ci dalecy wygnańcy nasi, szczęśliwi, że mogą widzieć ojczyznę „tylko przez pryzmat swej wyobraźni“.

Z kolei wymieniam następnie nazwiska internowanych w Ussolu. *Burzyński Tomasz* z żoną. Prawnik z uniwersytetu kijowskiego. Założył w Irkucku skład towarów warszawskich. *Czertwertyński Włodzimierz*, z rodziny książęcej. *Dellerf* ksiądz. *De-Cot* (Deko) z żoną, on pierwszy urządził hotel porządny w Irkucku. *Darowski Weryha*, *Dąbrowski*, z wojska rosyjskiego, *Ekert* z Warszawy. Chemik, technik, miał fabrykę octu, trudnił się wraz z Hartungiem analizami chemicznemi. *Frankowski* z Warszawy. *Geniusz* z rodziną. *Gielg Jan*. *Grodzicki*, ksiądz. *Gruszecki Michał* z żoną. W roku 1864 był Gruszecki powtórnie sądzony do robót ciężkich, podczas pierwszego pobytu na Syberji zamieszkiwał on okolice Daurji nad Arguniem, prowadził tam gospodarkę rolną na wielką skalę, hodował konie i bydło i zostawił po sobie wdzięczną pamięć u mieszkańców tamtejszych. Do kategorji powtórnie sądzonych na Syberję należeli jeszcze: *Gzowski Gerwazy*, *Daleski Franciszek i Tokarzewski.*

Gudzińska z Warszawy, katowana na „Pawiaku“ w Warszawie, zesłaną była do ciężkich robót. Wytrzymała ona mężnie wszystkie męczarnie i nabawiła przytem kłopotu wielkiego komisji śledczej; sądzono bowiem, że nie przeżyje tortur, więc tajemnica cała pójdzie z nią do grobu, gdy jednak zawiodła oczekiwanie, chciano ją powiesić, ale „gumanny“ rząd nie pozwolił na wieszanie kobiet, z tej racji, jakkolwiek niechętnie, wypuszczono ją z rąk oprawców, żywego świadka barbarzyństwa komisji śledczej. Złamana mękami, zmarła w Ussolu.

Guzowskie, siostry, z Warszawy. Torturowane przez generała Tuchołkę i pułkownika Zdanowicza przy indagacjach, nie wydały nikogo. Wogóle mówiąc, „kobiety nasze dały dowód męztwa, na jakie wielu z mężczyzn zdobyć się nie mogło“. Smutną po sobie zostawili pamięć: *Ławcewicz*, lekarz *Morawski Cezary*, lekarz *Przybylski Karol*, *Trzebiecki*, *Hanusz*, *Awejda*, *Laubcrowie*.

Hartung z Kijowa, asystent przy prof. Fonbergu w Kijowie, przyjaciel i kolega Aleksandra Czekanowskiego. Chemik, prace swoje chemiczne ogłaszał w czasopismach rosyjskich. Z Czerskim Janem odbywał wyprawy geologiczne po dolinie Irkuta.

(C. d. n.)

Z pism i książek.

„Sny o potędze.“

Pod tym tytułem wydał p. Leopold Staff w Warszawie, nakładem Gebethnera i Wolffa niewielki zbiorek wierszy. Przyjętym już od kilku lat zwyczajem, tytuł ten nadany został tomikowi od zawartego w nim cyklu wierszy, pod tym samym wspólnym tytułem. W każdym innym wypadku sprawę tak obranego tytułu, możnaby zostawić na uboczu, gdyż zazwyczaj dzieje się to w ten sposób, że zbiorek otrzymuje tytuł ogólny, albo od pierwszego utworu, albo od największego, albo od takiego, który sam autor uważa za najlepszy, czy też najważniejszy. Ale są tacy, którzy takiem zatytułowaniem całości wedle jednej z jej części chcą powiedzieć, że charakter tego utworu czy cyklu, od którego cały zbiorek otrzymuje tytuł, daje właściwie charakter, lub stanowi istotę wszystkich utworów zamieszczonych w zbiorku. Im lepszy poeta, tem więcej włoży treści we wszystko, co pisze, nawet w tytuł, i dla tego należy się z tem liczyć, zwłaszcza, gdy w nim poeta zupełnie młody, jak p. Staff, po raz pierwszy sam określić się stara przynależność swoich utworów i daje tem samem pierwszą niejako ideową krytykę swojej twórczości.

P. Staff, który dotychczas drukował swoje wiersze w rozmaitych czasopismach literackich, i zdobył tem sobie już pewną sławę, zgromadził w tym zbiorku przeszło pół setki liryków, które, jak sam mówi w tytule, są dopiero „snami o potędze“, a nie nią samą, ani jej widokiem. Na końcu tego zbiorku zamieszczony jest cykl sonetów pod tym samym tytułem. W jednym z nich mówi:

... Marzę, ocean bezbrzeżny i ciemny,
Jak ciska się i fale wzburzone rozlewa
I spienioną pieśń chmurnej swej potęgi śpiewa,
Majestatem swych gniewów wspaniały, tajemny

Ale on sam tej pieśni nie śpiewa. W drugim znowu widzi we śnie olbrzymie góry, w których

. . . . jest pycha
Bo jest wielkość w nagości ich, siła granitu
Jest w nich potęga dzika, majestat wspaniały
Co w swej dumie nie baczy na grzmiących burz szały,
Zapatrzony w swój ogrom, wsłuchany w swe głusze

A wśród tego wszystkiego śnił „siebie niegdyś potężnym mocarzem“ i „zda“ mu się, że „widział w śnie swą wielką duszę“. Potem widzi swój „sen nieurodzony“, w którym woła:

Będę tworzył! Rozmachem szaleje mi ramię!
Hartownym młotem będzie mi piorun mej siły!
Oto szukam olbrzymiej cyklopowej bryły,
By sen mój z ognia wcielić w marmuru odłamie.

Następnie znowu marzy mu się, że jest mistrzem, wielkim rzeźbiarzem

I w głazie dłonie jego młodzieńca wykuły,
Który ludzi miał uczyć zwycięstw, dumy, chwały
Posągu człon drgał każdy, siłą napęczniały,
Szałem nadmiaru grały w nim wszystkie muskuły.
A ten, co pierwszy ujrzał boskość w mistrza tworze
Padł na twarz, zatrwożony szepcząc ciche modły,
„W proch przed tobą niech padną mocarze najpierwsi!“
Mistrz zmarszczył brwi, odtrącił zgiętego w pokorze
I widząc jak moc rzuca siew słabości podłej,
Młotem strzaskał posągu granitowe piersi.

W innym sonecie widzi się olbrzymem, który światami, jak zdrobniałymi kulami rzuca naprzeciw wytyczonym drogom. A wreszcie tak wyrósł, że:

Stopy me toną w kwiatach ziemi. Na skroń bladą
Gwiazdy całunki tajni zwierzonych mi kładą.
Jestem wielki — Bóg pjanem weselem szalony.,

To znowu jest „mocarzem“, „zdolnym“, „jednym niedbałym ruchem“ tworzyć „nowe światy“, i zwołującym wszystkich tęskniących, aby im dać swoje skarby i „wielkie dobre swoje serce“. Ma „poczucie pełni“ a zabiwszy w sobie wszystko słabe, czuje się równym, najpotężniejszym żywiołom, jest puharem, z którego przelewa się „rozpieniony wezbrany nadmiar“, a wreszcie tym co gra „ze swojem przeznaczeniem z szaloną fantazją“, bo ma tę pewność, że rzut jego

. . . musi znakiem wygranej bogatej
Paść dla mnie, a dla niego sromem stratnej klęski
I w twarz mu trjumfalnie cisnę śmiech zwycięski.

Tak wyglądają sny p. Staffa o potędze, ale określenie ich, przeniesione na cały zbiorek, oznacza w tej przenośni, że w swej autorskiej skromności uważa zawarte w zbiorku utwory za sny o wielkiej potężnej poezji, niejako dokumenta prób podniebnego lotu, a nie za dowody aspiracji na patent skończonego poety.

Jeżeli jednak przyjrzeć się dobrze reszcie zawartych w zbiorku utworów, to autor nie przedstawia się tak skromnie, jakby to wynikało z autokrytyki, zamieszczonej przenośnie w tytule. Są to przeważnie same prawie nastroje, robione z bardzo wyraźną świadomością celu, z dokładnem poczuciem granic, w których się autor obraca, i środków jakimi operuje, oraz z wprawą formalną, jakie spotyka się tylko u bardzo już wyrobionych poetów. Faktura tych wierszy zarówno w grupowaniu obrazów jak i językowem ich wyposażeniu, jest tak wielką u p. Staffa, że aż za wielką, jak na początkującego poetę. Tak jasno, płynnie i okrągło wypowiadają się zwykle natury już skrystalizowane, bo tak powiedzieć, dają się tylko rzeczy gotowe.

Jeżeli więc tak młody poeta ma je już tak gotowymi, to mimowoli nasuwa się pytanie: Czy ta treść była tak małą, że poeta w tak krótkim przeciągu czasu potrafił ją już sformułować, czy może jest tylko w i r t u o z e m i posługuje się skomplikowanem wypowiadaniem na swój sposób rzeczy wypowiedzianych już przed nim?

Tu ani jeden ani drugi wypadek nie zachodzi wyłącznie, ale obydwa razem. P. Staff nowej treści przynosi niewiele, ale za to umie dawną dobrze *nachempfinden* (odczuwać powtórnie), przyczem formą wewnętrzną, tj. obrazowaniem słowami zawładnął rzeczywiście aż do wirtuozowstwa. Wywoływa on w czytelniku nastrój zapomocą szeregowania obrazów, z których każdy na końcu ma potem jakąś nitkę wiążącą ten szereg z osobą samego poety. Czasem dzieje się to wprost za pomocą zaimka dzierżawczego „mój“. Np. w wierszu „Zimowy biały sen“ daje w szeregu obrazów nastrój białego zimowego całunu, a na końcu umieszcza obraz następujący:

Mróz, biały ojciec zimy, starzec siwy
Skrada się w sioła przez śniegowe niwy,
Podchodzi milczkiem pod uśpione chaty
I w przecudowne fantastyczne kwiaty
Maluje okien szyby srebrnym szronem
A ludzie rano okiem zadziwionem
Spojrzą na szyby, gdzie w kwiaty zaklęte
Srebrzą się szczęścia m o g o słowa święte.

Gdzieindziej znowu zaznacza jakąś czynność osobistą, która określa znaczenie tych wszystkich poprzedzających ją obrazów dla poety, albo łączy je z swoją duszą, personifikując je w jakiemś określeniu uczucia np. przypisując temu lub owemu zjawisku przyrody, że było aktem np. radości, rozpaczy, przygnębienia itp. Tą metodą posługuje się p. Staff przeważnie we wszystkich tych wierszach i cyklach, (bo jak mu wiersza za mało na określenie nastroju to używa do tego całych cyklów), które kreślą nastroje wydobywane z przyrody.

W innych znowu koncept obraz, sytuacja stanowi oś utworu i przetapia się w nastrój, np. w wierszu „słota“ p. Staff robi naprzód nastrojowe ramy, dając jeden za drugim obrazy szczegółów słoty i potem dochodzi do rdzenia

Na dżdżu potworek siedzi mały,
Topielczyk wodą napęczniały
Głowa pożółkła duża blada
Sennie na piersi mu opada,
Jego bezmyślne tępe oczy
Błądzą po chmurnych wód roztoczy
I osowiały wielką tonią
Uderza w wodę płaską dłonią.

Wytłómaczywszy tak poetycznie samo chlupanie deszczu, przenosi je potem na siebie i tak opisuje, jak na niego działa ten odgłos chlupotu:

Topielczyk....
Po obolałej mojej czaszce
Uderza, zżółkłą płaską dłonią
W takt kropel deszczu, które dzwonią,
Lecąc miarowo w wodę mętną,
Melodją nudną i natrętną.

Wreszcie znajdują się w tym zbiorku i takie utwory, które jedynie dla takiego jednego pomysłu zostały zbudowane i obraz w nich jest przedstawiony całkiem objektywnie, albo na odwrót, poeta wciąż wyprowadza wszystko tylko ze swojego subjektywnego uczucia. Typem pierwszego gatunku jest sonet „Echo“, który przytoczyć warto w całości dla tego jeszcze, że widać zeń jak sobie p. Staff radzi z odczuwaniem uczuć gotowego, bajecznego świata.

Wśród swawolnej gonitwy w borze gęstwie szarej,
Usłyszał Faun rozkoszne słowo obietnicy
Z gorących ust rusałki nagiej, śniadolicej
I pobiegł swą radością huknąć w mroczne jary.
I tchnął z swej piersi szczęścia, szaleństwo uciesznе
W fletnię a dźwięk wylata szklanną, barwną kulą
Spada w jar, gdzie do stromych ścian karły się tulą
I patrzą długobrode, zadziwieniem śmieszne.
Chwytają bujające dziwo, cud tęczowy
I jeden go drugiemu niby piłkę ciska...
Kula grzmi echem tłukąc się o skał urwiska,
I łoskotem rozbudza uśpione parowy...
A Faun wziął się pod boki, porwany zachwytem
I hucząc śmiechem, w ziemię uderza kopytem.

Jest to jakby wykrojony z jakiejś książki obraz świata klasycznego, odczutego na sposób böcklinowski, naśladowany potem u nas w poezji przez Tetmajera i innych, podczas gdy typem znowu drugiej kategorji utworów, subjektywnej jest np. wiersz „miłość“, w którym poeta prowadzi z kochaną, długą idealną rozmowę o czarach miłości.

Oto niektóre główne rysy roboty poetyckiej p. Staffa niejako krańce, między którymi się obraca, jako artysta. I to też głównie zajmującem jest w p. Staffie, jako autorze „Snów o potędze“. Mówić o treści i wyliczać tematów ani podobna, bo ich jest zbyt wiele, jak na szczupłe ramy tego sprawozdania ani warto. Jest on i chce być do tego stopnia artystą uprawiającym „sztukę dla sztuki“, że zajmującą jest przedewszystkiem jego artystyczna robota, powtóre zaś powtarzając za nim jego tematy, pozbawiło by się jego utwory tego, co tylko w wiernem przytoczeniu wyjść może, tj. tej pewności siebie i tego spokoju, z jakim przedstawia stany swej duszy, nastroje i emanacje swojej wyobraźni. Ta spokojna prostota i zaokrąglenie wysłowienia, jakie z nowszych poetów spotykamy zwykle np. u Tetmajera, a które nie opuszcza p. Staffa nawet wówczas, gdy kreśli burze wewnętrzne, zwiątpienia etc., jest wynikiem panowania nad treścią. Poza tem treść sama, o ile nie składa się z przejść osobistych, odczutych jednak już, jakby przez kogoś, bo po literacku, przy całej swojej obfitości dziedzin, ma w sobie indywidualnego charakteru tak mało, że z wyjątkiem kilku wierszy, czytelnik absolutnie jest pozbawionym wszelkiego kryterjum co do szczerości i pierwotności opisanych uczuć. W autorze „Snów o potędze“ widać człowieka, który nadzwyczajnie biegle używa swojego instrumentu, przyczem jednak ciągle się ma to uczucie, że wygrywa na nim jakieś cudze kompozycje co najwyżej we własnej przeróbce. Ani w jednem miejscu nie mówi p. Staff nic takiego, coby uderzało tem, że tego nikt jeszcze przed tem nie powiedział, ani nigdzie nie utknie w ten charakterystyczny sposób, w jaki utykają ludzie, którym nagle przychodzi dać wyraz czemuś, co po raz pierwszy budzi się w ich duszy. Więc choć w tym jego zbiorku wszystko niemal jest zajmującem dla swojej rzeczywiście artystycznej formy, a w wielu ustępach nie podobna mu odmówić nawet wielkiej siły przekonania, przecież stwierdzić należy, że p. Staff dobrze zrobił, nazywając i zakończając pierwszy swój zbiorek „Snami o potędze“, czyli niejako jej zapowiedzią, bo dotąd jej jeszcze nie ma. Zdolność formalna, choćby, jak tu, w tem lepszem znaczeniu, pojęta, jako zdolność przedstawiania, a nie wierszoróbstwo, nie daje jeszcze prawa do tytułu prawdziwego poety. Na to trzeba własnego intenzywnego wewnętrznego życia, i wyższego duchowego rozwoju, który sięga poza to, co już było. Aby sięgnąć poza te granice, trzeba tamto wszystko wprzód przeżyć na nowo, i jeżeli z tego stanowiska traktować się ma „Sny o potędze“, to przyznać im można, że autor przeżył i dużo i dość gruntownie i w w piękny sposób zdał sprawę z przeżycia przez siebie tego, co w swoim zbiorku przedstawił. Czy gdzie i w którym kierunku wyczerpał już doświadczenie swoich poprzedników, i czy wychylił już wzrok swój poza granicę świadomości w przestwory niewiadomego, to okażą następne jego utwory. Dziś to można mu przyznać, że wśród najmłodszych polskich poetów lirycznych zajmuje jedno z miejsc pierwszych. Jest szeroki, ma fantazję bez chimer jednostronnych, wie czego chce, nie blaguje, a jednocześnie umie być zajmującym, plastycznym, barwnym i dźwięcznym. Jak na początek, to wiele.

S. W.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów ul. Kopernika 5.